

PIANO

200-9



P.I. 355

P.I.: 355

Biblioteka
Instytutu Badań
Literackich

Pióro



<http://rcin.org.pl> **Zeszyt pierwszy.**

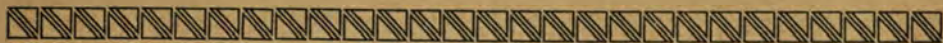


P.I 355

PIÓRO

WYDAWNICTWO POŚWIĘCONE
 LITERATURZE i SZTUCE

ADMINISTRACJA i SKŁAD GŁÓWNY w KSIĘGARNI
 NARCYZA GIERYŃA, KIJÓW, ULICA PUSZKINA 11.



Ulegając nie tyle tradycji, ile istotnej potrzebie, pragniemy zaraz na wstępie wyjaśnić pokrótce do jakiego dążymy celu, jakie żywimy nadzieje, przystępując do wydawnictwa PIÓRA.

Jak to zaznaczyliśmy w podtytule, pismo nasze ma być poświęcone wyłącznie sprawom sztuki i literatury i stronić będzie od wszelkich kwestji i dyskusji politycznych, społecznych, naukowych i t. p. Będzie to zatem wydawnictwo odmienne od rozpowszechnionego u nas typu pisma polityczno-krzykliwego, naukowo-dyletanckiego, społeczno-plotkarskiego i bylejak-ilustrowanego. Pod tym ostatnim względem, nie mogąc stanąć na razie na pożądanym poziomie, powstrzymujemy się zupełnie od „zdobienia“ tekstu politowania godnymi „obrazkami“.

Zapowiedzieliśmy w prospekcie, iż za jedno z najpierwszych swych zadań uważamy popieranie młodych sił literackich, przyczem nie omieszkaliśmy bardzo starannie podkreślić „istotnych“. Nie wywarło to wszakże pożądanego skutku i zasypano nas manną najprzeraźliwszych figłów grafomańskich, – bardzo niewiele natomiast otrzymaliśmy

rzeczy, odpowiadających stawianym przez nas wymaganiom. Z powodu wynikłych stąd trudności zeszyt pierwszy ukazuje się z pewnem opóźnieniem i z treścią nie tak urozmaiconą, jak tego pragnęliśmy.

Obok utworów oryginalnych, zamierzamy stale, poczynając od niniejszego numeru umieszczać dzieła najwybitniejszych, a mało u nas znanych autorów obcych, w przekładach wyborowych, poprzedzając je krótkimi szkicami biograficzno-krytycznymi.



TADEUSZ FICOWSKI.

Edgar Allan Poe.

(1809 – 1849).

Gienjalnie dziwny olbrzym-samotnik, którego życie i twórczość spletają się w jakąś fantastyczną upiorną bajkę, wysnutą – zda się – z majaczeń chorych snów, kędy – to w przepychu niezziemskim jawią się cuda piękna doskonałego; to wyzierają poczwarne zjawy nędzy, rozpaczy, obłędu. Dziwnem – zaiste – szyderstwem losu jest, iż duch ten, którego ojczyzną, prawowitą miała się stać przyszłość, wcielił się w krainie *businessu*, wśród ludu – zgrai czcicieli dolara.

Wnuk gienierała Dawida Poe, syn wędrownego aktora z małżeństwa z wędrowną aktorką – Elżbietą Arnold również ze znamenitej pochodzącej rodziny, osierocony niemal jednocześnie przez ojca i matkę w wieku niemowlęcym prawie, adoptowany przez bogatego kupca szkockiego osiedlonego w Wirginji – Johna Allana, który się go następnie wyrzekł, Edgar Poe, zaiste, niezwykle przechodził koleje. Odyta w wieku dziecięcym podróż do Anglii i pięcioletni w niej pobyt oraz początki nauki, odebrane w londyńskiej szkole d-ra Brandsby, pierwszorzędne niewątpliwie miały znaczenie dla dalszego rozwoju niepospolicie wrażliwej i czulej duszy poety. Zwłaszcza zaś majestat morza i atmosfera malowniczego przedmieścia londyńskiego Stoke-Newington, w której chłopak wyczuwał krążące tajemnicze legieny średniowiecza, niezatarte ślady w jego umyśle pozostawiły.

Pobyt Edgara po powrocie do Ameryki w szkole wojskowej w Richmond oraz w uniwersytecie w Wirginji ujawnia już zarodki późniejszej jego rozterki wewnętrznej. Już tu dosięga go moc straszliwego DEMONA PRZEWROTNOŚCI. Obok usilnej pracy nad poznaniem języków i literatur staro- i nowożytnych, z zapamiętaniem oddaje się hulankom i grze hazardowej. Imponuje towarzyszom swą wiedzą i zdolnościami poetyckimi, to znów umiejętnością przewodniczenia w wątpliwej wartości wyprawach i pijatykach. Charakterystyczny jest jego okrzyczany alkoholizm: Poe czuł wstręt do samego procesu picia, wzdrygając się wypijał nieznaczną ilość jakiegokolwiek napoju wysokowego i upijał się natychmiast, popadając w stan chorobliwego natężenia duchowego. (Dypsomanja).

Nieporozumienie z opiekunem, wynikłe na tle długów karcianych Edgara, wywołało czasowe zerwanie stosunków. – Następujący okres historii jego życia od r. 1827 – 1833 jest tak sprzecznie przez biografów przedstawiony, że z trudnością kilka zaledwie faktów da się tu wyłowić: wydanie w latach 1829 i 1831 pierwszych zbiorów jego

poezji, wstąpienie do Akademji Wojskowej, ostateczne zerwanie stosunków z Johnem Allanem. Tegoż okresu dotyczą legiendy o wyjeździe jego do Europy w celu wzięcia udziału w walce wolnościowej greków, oraz o rzekomem uczestnictwie w r. 1831 w powstaniu polskiem. Ta ostatnia opowieść zyskuje zresztą cechy prawdopodobieństwa dzięki istnieniu własnoręcznego listu Poe'go, w którym poeta stwierdza istnienie tego zamiaru.

John Allan po śmierci swej żony i po powtórnyim ożenku zerwał ostatecznie z swym przybranyim synem, pozostawiając go bez żadnych środków materjalnych. Odtąd rozpoczęły się dla Edgara długie lata nędzy wśród coraz bardziej gnębiącej go rozterki duchowej.

W roku 1833 na konkursie literackim ogłoszonym przez pismo SATURDAY VISITER dostaje pierwszą nagrodę za nowelę zatytułowaną MS. FOUND IN A BOTTLE, — «Rękopis znaleziony w butli». Tym utworem rozpoczyna szereg niezapomnianych opowieści będących już dojrzałym wyrazem charakteru jego twórczości. Pierwiastek tajemniczy, fantastyczny, nastroje grozy, rozpaczy, lęku, gienjalne pojmowanie i odtwarzanie stanów chorej duszy ludzkiej, wreszcie niezrównane mistrzowstwo słowa, — oto najbardziej zasadnicze ich cechy.

Dla zdobycia środków do życia znaczną część swego czasu, energii i gienjuszu oddaje pracy dziennikarskiej. Wyzyskiwany stale i przez wszystkich mimo ogrom pracy i nieskończonych wysiłków nie jest w stanie zdobyć sobie niezależności materjalnej. Widmo nędzy coraz to bliżej i częściej staje przy nim, — coraz to częściej szuka poeta wytchnienia i podniety w alkoholu.

Jak promienny poblask słoneczny wplata się tu w mrok jego życia nieziemski niemal miłość dla cudownego dziewczęcia — jego kuzynki Wirginii Clemm.

Annabel-Lee, Eleonora, Morella, Ligeia — wszystkie te świetlane postacie kobiece, umierające przedwcześnie, których lica zdają się być — jak słusznie mówi Baudelaire — otoczone aureolą, jaśniejącą wkóło lic świętych, wszystkie te postacie pierwowzór swój mają w młodziutkiej małżonce poety — Wirginii Clemm.

Przedwcześnie umarła Wirginia Poe, przedwcześnie skończył się tęczy sen o szczęściu poety.

W tym okresie (1836 — 1847) wydaje Poe najwspanialsze swoje utwory. (OPOWIEŚĆ ARTURA GORDONA PYMA, ZAMEK ZACZAROWANY, CZŁOWIEK TŁUMÓW, najpiękniejsza z jego baśni — MILCZENIE, CZARNY KOT, znakomity KRUK i wiele innych).

Zyskując z jednej strony znaczny rozgłos i poczytność, z drugiej wciąż zwiększa liczbę swych wrogów, zwłaszcza wśród sfer literackich, rozjątrzającymi artykułami krytycznymi, w których bezlitośnie wykazywał ubóstwo duchowe i artystyczne swoich współczesnych.

Po śmierci Wirginii (1847) dla poety zapadła ostateczna noc mroków beznadziejnych. Dalsze jego życie to już tylko powolne straszne konanie. Dwa długie, ciężkie lata tego konania rozświetla jedynie kilka przedziwnych w swej anielskości postaci kobiecych. Dobre duchy opiekuńcze — mrs. Clemm i mrs. Shew z niestrudzoną troskliwością macierzyńską czuwające nad schorzałym poetą, piękna — w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu — postać Heleny Whitman, poetki, co zdołała wyczarować w nieszczęśliwym duchu, przytłoczonym tem złowrogiem echem: NEVERMORE! — wybuch namiętne tkliwego uczucia, — w końcu tajemnicza a najbardziej podobna do zmarłej Wirginii — Annie.

W roku 1849 umarł Edgar Poe. Czy padł ofiarą zbrodni, czy też niepojętego wypadku — niewiadomo. Nie stało tego „*Kto czystsza stręść nadawał słowom swego ludu*“... (Mallarmé).

Jeżeli trudne jest zadanie biografą, pragnącego streścić na kilku stronach historję życia Edgara Poe’go, to już zgoła niepodobieństwem jest dać równie krótką charakterystykę jego twórczości. Próżno kusić się o ujęcie w scholastyczną formułkę tej potężnej indywidualności. Twórczość Poe’go to świat cały — świat tak podobny do realnego a zarazem tak dziwnie, strasznie — odmienny od niego, świat wewnętrzny, żyjący w niezgłębionej duszy gienjusza poza czasem i przestrzenią, a jednak równie żywy i plastyczny, jak ten, co nas otacza.

A czyż można świat — nieskończoność skrępować bezdusznym schematycznym ogólnikiem? Nie pojmujemy, jak może krytyk a zarazem wielbiciel Poe’go zadowolnić się nalepieniem na jego indywidualność twórczą nic nie mówiącej, a tak nadużytej etykietyki — «symbolista». (Balmont).

Natomiast można wykazać owe charakterystyczne rysy wspólne wszystkim utworom Poe’go, a przedewszystkiem uderzające czytelnika. Jest Poe mistrzem słowa, magiem wyczarowującym obrazy nastroje nie mające równych sobie; jest Poe przedziwnym znawcą duszy ludzkiej — jej *Meta-Chemikiem* rzeklibyśmy, czyniącym z nią gienjalne a okrutne eksperymenty, jak nikt wczuwającym się w jej chore stany, jak nikt odtwarzającym je; jest Poe odkrywcą nowych dziedzin piękna, jest twórcą poezji śmierci, przerażenia...

Literatura polska naogół uboga w przekłady, a zwłaszcza w przekłady arcydzieł, bardzo niewiele posiada dzieł Poe’go. Natomiast z dumą można stwierdzić, iż przekłady dotąd wydane są przeważnie dziełami sztuki, dokonanemi z sumiennością i pietyzmem częstokroć przez takich znawców i mistrzów, jak Faleński, Lange... Ostatnio

wyszedł zbiorek «NOWELE O MIŁOŚCI» w świetnym tłumaczeniu p. Beilina z ilustracjami art. mal. Witolda Gordona. O ilustracjach tych znakomity znawca Poe'go J. H. Ingram twierdzi, (w liście prywatnym), iż są prawdziwemi arcydziełami i nie mają sobie równych.

W zeszycie tym dajemy czytelnikom znakomity poemat — «KRUK», który — o ile nam wiadomo — dotąd po polsku drukowany nie był. Tłumaczy się to zapewne tem, iż rzecz ta jest niezwykle trudna do przetworzenia. Nadto dajemy najpiękniejszą baśń Poe'go — «MILCZENIE», w której poeta wystawia przerażenie i mękę duszy ludzkiej, spowodowane wieczystem, kryjącem wszechtajemnicę milczeniem, co nas zewsząd otacza.



EDGAR ALLAN POE.

Kruk.

Panu J. H. Ingram'owi – czcicielowi
i obrońcy Poe'go – przekład ten poświęcam.
Cz. K.

Kiedyś, gdym zmęczony, chory, śleczął w mroku nocnej pory
Nad ciekawą księgą wiedzy, co w zapomnień legła kurz –
Gdym się schylał nawpół śpiący, jakiś szmer mnie doszedł drżący –
Ktoś cichutko pukający, pukający do drzwi tuż.

«Pewno jaki gość – mruknąłem – stukający do drzwi tuż –
Tylko to – nic więcej już.»

«Ach, pamiętam to tak złudnie! było to we mroźne Grudnie;
Każdy płomyk, gasnąc, cudnie cień na ścianę rzucał wzdłuż.
Chciwiem rana czekał w smutku – szukał w księgach swych bez skutku
Leku mego po niej smutku – smutku po tym brzasku zórz,
Co anieli zwą Lenora – po Lenorze, brzasku zórz...»

Jej nie nazwę nigdy już!

I jedwabne ciche szmery purpurowych fałd portjery
Rozlewały fantastyczny lęk, nieznany żadnej z dusz;
Tak, iż – by uśmierzyć bicie serca – powtarzałem skrycie:
«To gość jakiś w wichrów wycie do drzwi moich puka tuż; –
Gość spóźniony w wichrów wycie do drzwi moich puka tuż; –
Właśnie to – nic nadto już.»

Pokój wstąpił do mej duszy, nie wałęsam się już dłużej.
«Panie – rzekłem – czy też Pani, błagam, racz przebaczyć już;
«Nie fakt, żeś był drzemający, Pan – tak cicho stukający
I tak lekko pukający, pukający do drzwi tuż,
Że wątpiłem, czy Cię słyszę.» – Tum odemknął drzwi swe już:
Ciemność tam – nic nadto już.

W mrok głęboko przenikając, długom stał tam drżąc, badając,
Wątpiąc, śniąc sny, jakich przedtem śnić nie śmiała żadna z dusz.
«Nie cisza szła bez zmiany, mroki nie pukały w ściany,
I jedyny jęk słyszany, był: Lenoro, brzasku zórz!
To ja łkałem; echo rzekło też: Lenoro, brzasku zórz!
Tylko to, nic więcej już.

Powróciwszy do pokoju z duszą w dziwnym niepokoju,
Znowu stukanie usłyszałem, nieco wyraźniejsze już.
«Pewno – rzekłem – wiatr o mało, szybe mi nie stłucze całą;

Niechno spojrzę, co się stało, tajemnicę poznam burz;
 Niech się serce uspokoi, tajemnicę pozna burz;
 Wiatr to i nic nadto już.»

Uchyliłem okiennicy – kiedy z szumem do izbicy
 Wleciał Kruk majestatyczny – dawnych, świętych czasów stróż.
 Nic przede mną nie czuł trwogi, zmierzył okiem moje progi,
 Z miną lorda – dumny, srogi, przy drzwiach moich usiadł tuż –
 Na Pallady białym biuście przy drzwiach moich usiadł tuż –
 Wleciał – siadł – nic nadto już.

Do uśmiechu ptak ten czarny przywiódł nastrój mój cmentarny
 Swą powagą – i *decorum* miny, którą przybrał tuż.
 «Choć marnemiś okryt pióry, nie lękliwejs jest natury,
 Kruku straszny i ponury, wlatujący z nocy mórz!
 Powiedz, jaki pański tytuł w kraju masz Plutońskich mórz?»
 I Kruk odrzekł: «Nigdy już.»

Bardzom dziwił się ptakowi, który tak wyraźnie mówi,
 Choć odpowiedź niedorzeczną dał mi dziwny gość mój z burz:
 Bo też każdy przyznać może, iż nikomu-ś nie dał, Boże,
 Widzieć to: podobny zmorze czarny ptak przy drzwiach twych tuż –
 Ptak czy zwierzę na rzeźbionym biuście przy drzwiach twoich tuż –
 Z takim mianem: «Nigdy już!»

Lecz Kruk, siadłszy tak samotnie na spokojny biust, stokrotnie
 Mówił to – by chcąc w to jedno słowo wlać swą żalność dusz.
 Więcej nic już nie powiedział, cicho na swem miejscu siedział, –
 Więc szepnąłem: «Czym nie wiedział? jutro zniknie – to i cóż!
 Przyjaciele mnie odbiegli – i on zniknie – to i cóż!»
 Wtedy ptak rzekł: «Nigdy już.»

Przestraszony stosownością odpowiedzi, jej trafnością,
 «Pewno – rzekłem – to co mówi – cała jego mądrość już,
 Którą ma od swego pana, co go dola niezblągana
 Wciąż ściagała rozgniewana – aż śpiew jego jęczał już –
 Aż śpiew jego jęczał tylko tym refrenem smutnym już –
 Tem «Przenigdy – nigdy już.»

Lecz do śmiechu znów ptak czarny przywiódł nastrój mój cmentarny.
 Szybkiem fotel wtoczył nawprost ptaka – biustu – i drzwi tuż.
 Na aksamit się wspierając, długom siedział tak dumając,
 Sznur domysłów zestawiając: co złowieszczy grobów stróż –
 Co chce rzec ten chudy, brzydki i złowieszczy grobów stróż
 Swem krakaniem: «Nigdy już?»

Takem więc w dumaniach siedział, lecz ptakowim nie powiedział
 Nic; — żar ślepi jego palił pierś mą jak ognisty nóż.
 W sny te byłem pogrążony, wtył niedbale przechylony
 Na przez lampę oświetlony fotelowy miękki plusz.
 Ach — nie schyli się przy lampie na fotelu miękki plusz
Ona nigdy, nigdy już!

Wtędym, zda się, poczuł miły zapach, który roznosiły
 Kadzielnice, przez Serafy kotysane wszecz i wzdłuż.
 «Milcz! twe bogi żalem zdjęte ślą ci przez anioły święte
 Wypoczynek i nepenthe — więc Lenorę zostaw już!
 Pij, nieszczęsny, pij nepenthe i zapomnij zmarłą już!»
 Kruk mi odrzekł: «Nigdy już».

«Wieszczu! — rzekłem — Złego Panie! wieszczu — ptaku czy Szatanie!
 Czy Kusiciel cię tu zsyła, czy rzuciły skrzydła burz?
 Wąty a niepokonany — na ten step zaczarowany,
 W dom przez Strachy nawiedzany, — błagam, powiedz synu burz:
Jest li balsam w Galilei? błagam, powiedz, synu burz!»
 Kruk powiedział: «Nigdy już!»

«Wieszczu — rzekłem — złego panie! wieszczu — ptaku czy Szatanie!
 Na ten Krzyż — na Boga, co Go obaj czcimy z głębi dusz!
 Oświeć duszę mą zboląłą: za krainą chmur wspaniałą
 Spotka li tę dziewczkę białą, spotka li ten promień zórz,
 Co anieli zwą Lenora? spotkaż znów ten promień zórz?»
 Kruk powiedział: «Nigdy już».

«Niech to słowo będzie znakiem rozłączenia z wrażym ptakiem!» —
 Zawołałem wstając. — «Idź znów w cień Plutoński, w wichry burz!
 Niech cień wszelki zniknie z ściany, gdzie mi kłam twój był słyszany!
 Zostaw spokój mój bez zmiany! opuść biust, co przy drzwiach tuż!
 Z serca mego dziób swój wyrwij — a sam odleć z drzwi mych tuż!»
 Kruk powiedział: «Nigdy już!»

I tak Kruk bez odpowiedzi dotąd siedzi, dotąd siedzi,
 Na Pallady bladym biuście przy drzwiach moich siedzi tuż;
 Jego ślepie w blaskach marzy, jak w śniącego Djabła twarzy;
 Lampa, co się za nim żarzy, jego cień odrzuca wzdłuż;
 Dusza ma z nad cieni, które na posadzkę legły wzdłuż,
 Nie uleci — nigdy już!

Przełożył

EDGAR ALLAN POE.

*Milczenie**Baśń.*

Ευδουσι δ'οορων κορυφαι τε και φαργγες
Πρωες τε και χαραδραι.

ALCMAN.

Szczyty gór drzemią;
Jary, skały i jaskinie milczą.

«Słuchaj *mnie*», rzekł Szatan, rękę mi na głowie kładąc. «Kraj, o którym mówię, jest pęsną krainą w Libji, na brzegach rzeki Zairy. I niema tam spokoju, niema milczenia.

«Wody rzeki mają barwę niezdrową szafranu; i nie płyną ku morzu, jeno pod słońca okiem czerwonym drgają wieczyście w ruchu burzliwym i konwulsyjnym. Na wiele mil, po strony obie mulistego rzeki łoża, rozściela się blada puszcza olbrzymich lilij wodnych. Wzdychają do siebie w tej samotności, i wyciągają ku niebu swe długie szyje upiorne, i wiecznotrwałemi swojemi kiwają głowy. I sły chać tam niejasny szmer jakiś, co biegnie od nich, niczem szmer podziemnych źródeł. I wzdychają do siebie.

«He jest tam granica ich królestwu – ciemna, straszna, ogromna puszcza. Młode drzewka stale się tam poruszają, jak fale wkoło He-bryd. Wszelako niemasz wiatru w niebie. A wielkie drzewa odwieczne chylą się i kołyszą z rykiem potężnym. I z dunnych ich wierzchołków, kropla za kroplą, spływa wiecznotrwała rosa. A u stóp ich dziwne jadowite kwiaty leżą powykręcane we śnie niespokojnym. A w górze, z szumem donośnym a szeleszczącym, siwe chmury dążą zawsze i zawsze ku zachodowi, aż spłyną kataraktą poza ognisty mur widnokręgu. Wszelako niemasz wiatru w niebie. I na wybrzeżach rzeki Zairy niema spokoju, niema milczenia.

«Była noc, i deszcz padał; i spadając był deszczem, lecz spadłszy był krwią. A jam stał w bagnie pomiędzy wysokimi nenufary, i deszcz spadał mi na głowę – a lilje wzdychały do siebie w uroczystości swej rozpaczy. I oto naraz wzeszedł księżyc z subtelnej bladej tumanów, a koloru był karmazynowego. I wzrok mój padł na wielką szarawą skałę, co, stała na brzegu rzeki, oświetlona światłem miesiąca. I była ta skała szarawa, upiorna i wielka – i była ta skała szarawa. Na czole jej widniały w kamieniu wyryte litery; i szedłem poprzez bagno lilij wodnych, ażem doszedł do samego wybrzeża – by czytać w kamieniu wyryte litery. Ale ich nie mógł odcyfrować.

I jużem miał odejść z powrotem ku bagniskom, gdy naraz miesiąc błysnął jaskrawszą czerwienią, i odwróciłem się i znowu spojrzałem na skałę i na litery; — a litery te były: STRAPIENIE.

«I spojrzałem w górę, a na szczycie skały stał człowiek i ukryłem się pomiędzy liljami wodnymi by śledzić, co czynić będzie. I był człowiek ów postaci słusznej i majestatycznej, i od ramion do nóg otulony w togę starożytnej Romy. I niełża było rozróżnić kształtów jego postaci — lecz rysy jego były bóstwa rysami; bo ani opoścza nocy, ani tumanów, ani miesiąca, ani rosy — nie zdołały zasłonić rysów jego twarzy. I spojrzenie jego było dumne myślą, a oko jego dzikie troską; a z niewielu brózd nad jego policzkiem wyczytałem powieść smutku, i zmęczenia, i wstrętu do ludzkości i za samotnością tęsknoty.

«I siadł ów człowiek na skale i głowę na rękę oparł i patrzył na pustkowie. Patrzył na młode drzewka, co stale się poruszają, i patrzył w górę na wielkie drzewa odwieczne, i jeszcze wyżej na szeleszczące chmury i karmazynowy księżyc. A ja leżałem pod ochroną lilij i śledziłem co czynił. I człowiek drżał w samotności; — ale noc szła, a on siedział na skale.

«I odwiódt ów człowiek uwagę swą od nieba i począł patrzeć na żalobną rzekę Zairę, i na żółte upiorne wody, i na blade legjony wodnych lilij. I przysłuchiwał się ów człowiek do westchnień wodnych lilij, i do szmeru, co biegł od nich. A ja leżał cicho w mojem schronieniu i śledził, co czyni. I drżał ów człowiek w samotności; — ale noc szła, a on siedział na skale.

«Wtedy się spuścił w zacisze bagna, i brnął przez puszcę lilij, i przywoływał hipopotamy, mieszkające w żuławach, w zaciszu bagna. I hipopotamy usłyszały me wołania, i przyszły, wespół z behemoty, aż do podnóża skały, i strasznie a donośnie ryczały pod księżycem. A ja leżał cicho w mojem schronieniu i śledził, co czyni. I drżał ów człowiek w samotności; ale noc szła, a on siedział na skale.

«Wtedy zaklął żywioły zaklęciem rozruchu; i straszliwa burza wybuchła w niebie, gdzie wprzódy nie było wiatru. I niebo posiniało od gwałtowności burzy — i deszcz smagał człowieka po twarzy — i wody rzeczne wyszły z brzegów — i umęczona rzeka broczyła w pianie — i nenufary krzyczały ze swego łoża — i las się kruszył pod wichrami — i huczały gromy — i spadały błyskawice i aż do podstaw wzdrygała się skała. A ja leżał cicho w mojem schronieniu i śledził, co czyni człowiek. I drżał ów człowiek w samotności; — ale noc szła, a on siedział na skale.

«Wtedy zawrzał gniewem i zaklął zaklęciem *milczenia*, rzekę, i lilje, i wiatr, i las, i niebo, i grzmot, i westchnienia lilji wodnych.

I zostały zakłęte i *ucichły*. I miesiąc przestał drożynę w niebie przebijając—i skonały grzmoty—i nie migotały już błyskawice—i chmury powisły bez ruchu—i wody zbiegły do łożysk i zastygły—i drzewa już nie drżały—i wodne lilje już nie wzdychały—i żaden szmer już od nich nie biegł—ani żaden cień lub dźwięk od bezkresnej puszczy. I spojrziałem na litery wyryte na skale—i były zmienione;—a litery te były: MILCZENIE.

«I padł mój wzrok na twarz człowieka, i twarz jego była blada z przerażenia. I odjął gwałtownie ręce od głowy, i stał prosto na skale i słuchał. Ale nie było żadnego szmeru na bezkresnej puszczy, a litery na skale były: MILCZENIE. I człowiek się wzdrygnął, i odwrócił się, i począł uciekać wdał, pośpiesznie, ażem go już nie ujrzał».

.....

Owóż wiele jest misternych bajek w księgach Magów—w oprawnych w żelazo, smętnych księgach Magów. Są tam, mówię, świetne powieści o Niebie, i o Ziemi, i o potężnym Morzu—i o Duchach co przepętniają morze i ziemię i wzniosłe niebo. Dużo też było wiedzy w tem, co mówiły sybille; i święte, święte rzeczy słyszały liście ciemne, co drżały wkoło Dodony—lecz, na Allaha, bajkę, którą mi opowiedział Szatan, siedząc obok mnie w cieniu grobowca, uważam za najcudniejszą ze wszystkich! I ukończywszy szatan swą opowieść, padł na wydrążenie w grobowcu i śmiał się. A jam nie mógł się śmiać wraz z Szatanem i przeklął mię za to, że się nie mógł śmiać. I ryś, co wiecznie mieszka w grobowcu, wyszedł zeń, i wyciągnął się u nóg Szatana i patrzył mu w oczy przenikliwie.

Przetłóżył

CZESŁAW KOZŁOWSKI.



JAROSŁAW IWASZKIEWICZ.

Z cyklu „Imiona“.

Lilith.

Cichy o marmur sandału zgrzyt,
Kadzidła welon i ambry woń,
Drży w siny płomień świecznika dłoń...
Idzie Lilith... Idzie Lilith...

O serce moje zgłodniałe – cyt!
To płatków kwiatnych opada rój,
To kadzidlany ściele się zwój...
Idzie Lilith... Idzie Lilith...

To wschodni śni się duszy mej myt...
To płacze tęskny i zwiędły kwiat...
O czarny marmur sandału zgrzyt,

Kroki tajemnic i szepty zdrad.
Rodzi się wonny i słodki byt.
Idzie Lilith... Idzie Lilith...



ADOLF ZELENAY.

W poświęcie miesięcznej.

Rozmodlony miesiąca sznur białych promieni
W kryształowym pająku srebrne strzępy splata...
Przez okno wpólotwarte noc płynie skrzydlata,
Brzemienna zadumaniem, miłościwa ksieni.

I niesie nektarowy napój słodkich czarów...
Mgławicowemi dłońmi głowę mi kołysze...
W gwiaździsty płaszcz ubrana rozplywa się w Ciszę,
Co pętnie od wahadeł pomilkłych zegarów.

Aż wstanie rozemdlona ponad senną ziemią...
Lecz co to?... łzy czy rosa... ślad mokry na twarzy...
Ha... wspomnienia... i teraz, wygnańcy, nie drzemiał...

Widma blade wracają i stają na straży,
By w ogród mojej duszy na zwiędłe złocenie
Nie upadł źródł ożywczej rosy: zapomnienie.

4. 9. 13.



TADEUSZ FICOWSKI.

Śmierć Boga.

Pani Zofji Kozłowskiej w szacunku prawdziwym wdzięcznie poświęcam.

...A dzisiaj pogrzebałem ostatniego boga...
Z dziką klątwą na ustach powracam z cmentarza,
Tysiąc ech w czarnej dali przekleństwo powtarza,
Klątw tysiącem mnie ściga oszalała trwoga...

I nie wiem już — zaiste — dokąd wiedzie droga,
Gdzie stąkam błędnym krokiem tułacza-nędzarza,
Którego Noc swą głębią otchłanną przeraża...
Pełna dziwnych tajemnic — martwa i złowroga...

Lęk potworny — plugawy czołga się przede mną,
A za mną stąpa Niemoc rozpaczna i błada
I wołania jęklive rzuca w otchłań ciemną;

«Biada temu, kto wiarę w swe bogi postrada!...»
— Jam zabił ostatniego w noc męki tajemną,
A sam byłem tym bogiem... O biada mi... biada!...



CZESŁAW KOZŁOWSKI.

Pocieszycielki strapionych.

Śłodkim a poświęcenia pełnym
matkom i przyjaciółkom tych poetów,
co nieszczęśliwi, w winie-haszyszu
natchnienia lub wytchnienia szukali:
consolatricibus afflictorum.

Ci co idą po nocy, cisi a pogodni,
Z haszyszów czarnych spijać Piękno – i zagładę,
Tym każdy głąz przydrożny prorokuje zdradę,
Ci padną kiedyś, słabi, pod stopy przechodni.

Tym krzyknie: że Pijacy współczucia nie godni!
...Wtedy przyjdą Niewiasty łagodne i blade
I trwożliwie odbędą siostrzaną naradę,
I odtąd już na zawsze zapomną o zbrodni.

Nakarmią i napoją Poetę-Rozbitka,
I złożą go wygodnie i śpiewać mu będą
I smutne jego święta weselić kolędą:

Matką-sługą mu będzie ta siostra szarytka.
– I w marach, co się w chorej jego myśli stworzą
Ona jedna rozpozna dumną iskrę bożą.

25. 4. 1914.



ST. SIKORSKA.

Miłość.

I.

Miła przymknęła oczy, a poprzez senne obrazy nagle spadały na jej ręce prawdziwe uczuwalne pocałunki. Chłódzą gorące dłonie jak dotknięcia fal i są tak dobre, ciche. Zapadała w półsen, chyliła się ku jakiejś otchłani i prawie bezsilna krążyła w dół ze złamanymi skrzydłami bez ratunku, bez nadziei.

«Złamanym skrzydłom nikt lotu nie wróci», więc Miła się nie opiera i w tem poddaniu jest dziwne zapomnienie bólu, strachu. Ciche palce odpoczynku zamykają skazańcowi źrenice, gdy już wie że—napewno, napewno...

— Co to? Boję się!—Pot zrosił czoło. Ręce, jak ptaki osłabłe, chwytają coś w powietrzu, lub też bronią się przed uderzeniem pewności.

Czarne oczy Mili zbieleły.

— Uspokój się, jam przy tobie.

I te słowa, dźwięki tak dobrze, tak cudnie znajome chylą straszliwie zmęczoną głowę ku poduszkom. Niosą czarem tonu spokój bezmiaru błękitnych wód.

W ciemny zupełnie pokój wpadają srebrne cienie. Siecią misternych linii oplatają miękkie krzesła, stoliki.

Na dywanie rozkwitły białe, smutne kwiaty, których wszak zerwać nigdy nie można, bo złudnie, zdradliwie pierzchają.

Miła przymknęła oczy, boli ją widok tych cudnych, bajkowych kwiatów. Z trwożliwą ironją myśli, że oto skończona jej karjera artystyczna. Tam, na biurku zwiędnie ostatni bukiet do stóp jej rzucony i więcej nigdy, już nigdy...

Przez olbrzymie czarne rzęsy spływają powoli jedna, za drugą łzy...

Cicho, cicho płakać trzeba, by jego nie spłoszyć...

Ludzie nie lubią łez, a teraz pozostać samą, gdy tam, za oknami huczy życie.

Myśli gorączkowe, bezładne płaczą się w mózgu.

Pozostać samą.

— Zima chłodnemi ustami całowała szyby—myśli Miła—bo czemuż zakwitły tak cudnym splotem kwiatów.

On pójdzie w głąb ulic wybielonych kryształami śniegu.

— Jak cudnie błyszczą tam, za oknami brylanty szronu spadłe na bruk, a pod stopami napewno z chrzęstem ugina się śnieg.

— Samotną?—Mila milcząc uściśnęła dłoń Aleksandra, by się przekonać raz jeszcze, że on jest przy niej.

— Ty nie śpisz, Milo?—pytał, przykładając chłodne wargi do ucha dziewczyny—może światło zapalić.

— Nie.—Zaprzeczyła zdławionym głosem.

Aleksander patrzył w głąb ciemnego pokoju. Ta przewlekająca się choroba Mili niepokoiła go trochę, choć wierzył niezbicie, że minie. Nie zagłębiał się nigdy w trwożne przeczucia, brał z życia najjaśniejsze tony. I ta Mila, ów płomienny śpiew, radosna młodość, stanowiła część jego istoty.

Kochał ją za owe wzloty, którymi porywała go wraz ze sobą.

Kochał jej śmiech radosny, ciche, smutne spojrzenia, w których kryła drobne troski życia, by jemu nie truć godzin szczęścia.

— Olku!

Uczuł, że rozpalone dłonie oplatają się wokół jego szyi.

— Ja się tak strasznie boję! Ty odejdziesz? Nie odchodź! Nie odchodź! Tak pusto, zimno... Nie odchodź!—Krzyczała rozpaczliwie, ogarniając go całym swym drżącym, rozpalonym ciałem.

— Zostanę zawsze przy tobie. Nie odejde, Milo! uspokój się—szeptał, otulając ją starannie kołdrą.

Ostatni raz zarzuciła mu ręce na szyję. Usta z rozpaczliwym łkaniem padły na wargi Aleksandra. Na dłoniach, na oczach jego drżały czarne, rozpadłe włosy.

Szepcząc jakąś prośbę umilkła.

Jak najcudniejsze obrazy baśni przesuwają się przed jej oczyma własne, przeżyte chwile.

Zapomniała o zwykłych codziennych bólach, wydawało jej się teraz, że ich wcale nie było, i przeszłe życie rozbłysło śmiechem radosnego światła.

— A przez te myśli, jak łzy smutne, przewiewały wiersze zapamiętane z lat dzieciennych—wiersze o śmierci.

Tak zdawało jej się, że już ostatnią walkę stoczyła z życiem w chwili, gdy oceniono jej wielkie zdolności dramatyczne.

Została zaangażowana do prywatnego teatru i od tej pory Mila stała się zupełnie niezależną.

Nie miała z rodziny nikogo prócz dalekich krewnych, którzy łożyli na jej wykształcenie, lecz zerwali z nią zupełnie, gdy wstąpiła do teatru.

Kochała scenę, przejmowała się rolami i była najszczęśliwsza, gdy kurtyna przy deszczu oklasków wznosiła się, ukazując zalaną światłem salę...

Oczy widzów, te oczy, które ona budziła swą grą ku innemu, nowemu życiu były jak echo jej duszy.

A potem cudny spokój, chwila ciszy...

Jak trunkiem upojona wracała do domu, by śnić o nowych tryumfach.

II.

Mila zaznałomiła się z Aleksandrem Oskrzelem, będąc siódmo-klasistką.

Nie myślała wtedy o teatrze. Wszystkie pragnienia jej dążyły ku wyzwoleniu się z pod opieki krewnych.

Tylko jemu, Oskrzelowi zwierzała się ze swych smutków, bo przy nim wolno jej było płakać.

Nikt tu w czasie korepetycyi nie mówił o prawie wdzięczności, milczano o rozsądku, obowiązku.

Mila często zamiast zadań geometrycznych rozwiązywała z Oskrzelem problematy stokroć trudniejsze, tak strasznie niesprawiedliwe, tak krzywdzące. «Życiowy mus» zwało się ich określenie.

Ta czarnowłosa, chuda, o płonących, czarnych, obcych oczach i krwawych ustach pensjonarka często była zła, uparta, mówiła Oskrzelowi niegrzeczności i nagle, gdy wychodził czuł, że ręce Mili wsuwają mu do kieszeni kwiaty.

Oskrzcel gniewał się, a Mila bladła, grożąc rzuceniem się z okna, gdy powie coś o tem przełożonej.

Później Mila zachorowała.

Gdy wyszła po kilkotygodniowej chorobie do niego, Oskrzcel cofnął się. Stała przed nim zupełnie dorosła blada panna o żrenicach zolbrzymiałych, pytających.

— Jakże pani mizerna — zaczął Aleksander. Słowa jego samotnie padły w pustej sali; dźwięki, biegnąc wzdłuż ścian, zwolna milkły.

Wyciągnął do niej rękę. Patrzał na tę twarz mizerną, na usta, które straciły kolor wiśni i i były tak blade.

I nagle uczuł, że Mila zarzuciła mu ręce na piersi i usłyszał szept — pytanie.

— Ja tak pragnęłam, tęskniłam, a pan?

W tej chwili Oskrzcel zrozumiał, że i on nie zdając sobie sprawy krążył myślą wokoło Mili, że on również oczekiwał tego momentu z upragnieniem.

Mila została narzeczoną Aleksandra Oskrzela.

Kochała go. Oczarowywał ją każdy ruch jego ręki, drgnienie ust, spojrzenie błękitnych oczu.

Kochała barwę jego złotych włosów.

W zmroki lubiła słuchać cichych, smutnych piosenek Aleksandra.

Potem, gdy została aktorką, zawierał się przedziwny w tem urok dla niej, że znała go przed wstąpieniem do teatru, że poznała go,

gdy nawet nie marzyła o karierze artystycznej. Kochała go za to, że Oskrzel obchodził się z nią nie tak swobodnie, jak koleczy, że pozostała dla niego dawną Milą—pensjonarką.

Patrzała w te wielkie, księgi z których Aleksander się uczył.

Był już na ostatnim kursie filologii, lecz jeszcze dłużej miał pozostać przy uniwersytecie, by zdobyć tytuł doktora filozofii.

— A do twego uczonego mieszkania, do tego surowego szeregu ksiąg, ja wrzucę radosny krzyk życia i będę tańczyła, patrz jak—

Mila rzucała na dywan poważne, ciężkie tomy i ze śmiechem tworzyła na nich taniec własnego pomysłu.

III.

.....

 Wspomnienia czarowne, pachnące opasują ramionami Milę.

— Jak pięknie... cudnie...

Szalone, wiosenne życie, jak młode leśne zwierzę, niosąc w futrze świeży zapach borów, patrzy jarzącymi ślepiami na Milę.

Upajające odgłosy burzą targanych drzew, śpiew kwiatów, jakieś niemilknące radosne odzewy wstają na ciebie:

— Milo! Milo!

Wyciągają się dłonie, wilgotne zbudzoną srebrzystą wodą, ku tobie, Milo, ku tobie!

Porwała ją sieć młodych, rozpadłych w wicherze złotych włosów, pachnących igłami, odwilgłą ziemią, pierwszymi, białymi kwiatami rozjaśnionych.

A pośród tych włosów, oczy drapieżne, oczy wołające, upojne ciągną ją gdzieś dalej—dalej... ku czemuś co jest najdroższem, tajemniczem.

Mila do krwi gryzie usta.

Słów doktora zapomnieć nie może.

— Wyjazd konieczny.

— A gdy zostanę?—pytała.

Milczał, lecz ona pojęła prawdę śmierci.

— Co zrobić?—wszak nie miała nic, ostatnie klejnoty sprzedała lub zastawiła.

Aleksander również oddał wszystko na jej leczenie. Więc cóż? Śmierć.

Pierzchły gwałtownie wizje. Zimny pot zrosił czoło. Poczęła drzeć. Chłodnemi oczyma patrzała przed siebie.

Jak zwierzę ścigane, nie, raczej, jak człowiek osaczony, dla którego już, zda się, niema ratunku, Mila spokojnie poczęła odnajdywać wszystkie możliwe drogi, ścieżki, rcin.org.pl

Tylko lotem umysłu z pod czyhających rąk zbieg ująć może. To wrażenie dziwne odczuwała w swej duszy i była teraz prawie nieublagana w pomysłach; zdawało jej się, że wszystkie drogi są dobre, byle ona mogła żyć.

I nagle zobaczyła tę twarz.

Drgnęła cofając głowę w głąb poduszek, lecz oczy drapieżne, trochę zakrwawione, kazały jej patrzeć, więc badała tę starczą maskę, te usta! których się tak brzydziła, których się wprost lękała.

I tam właśnie był ten ratunek.

Lecz mimo woli zadrgała jakaś nadzieja, przekradł się szept ohydny:

— Ten da...

Mila uniosła rzęsy i przez nie spojrzała na Aleksandra. W zmroku nie dojrzała jego twarzy, siedział jak przedtem schylony.

— Jaka ja jestem...

Lecz nie dokończyła, bo nagle w przedpokoju zadrżał dzwonek, a Mila uczuła, jak wzdłuż jej ciała przebiegło jedno, długie, bolesne ułknięcie.

Była pewna, że to on, hrabia Jaworski.

Myślała o tem nienaturalnie spokojnie.

Rozwiązała się zagadka dobra i zła. Nie było nic, skoro nadeszła śmierć.

Wszystko runęło w przepaść; skonały wszystkie tony, gdy ten ostatni dzwon brzmiał.

Więc tylko ratunek! Ratunek!

Tem słowem zabija się wszystkie dowodzenia. Poza niem nic nie istnieje.

Już czwarty raz od czasu jej choroby składał wizytę. Pod pozorem zbyt wielkiego osłabienia nie przyjmowała go.

Dzwonek umilkł. W mieszkaniu panowała zupełna cisza. Widocznie służąca wyszła—myślała Mila.

Głośny, pewny, przenikliwy dźwięk przebiegł mieszkanie raz jeszcze i zmiłkł.

Wtedy dały się słyszeć szybkie kroki. Drwi otworzono i do pokoju wpadały wyraźne, trochę gardłowe, męskie dźwięki.

— To znowu on — zdławionym, złym głosem wykrztusił Aleksander.

— Przyjmiesz go?

Mila nie odpowiadała.

Patrzała na drzwi, w których ukazała się pokojówka. W jasnej plamie zupełnie jak na scenie widniała ta głowa. Mila z trwogą obserwuje znany profil i czuje, że on nie patrząc widzi ją, ukrytą w ciemnym pokoju, tak samo dobrze jak wtedy, gdy grała na scenie.

Zawsze, zawsze widniała jego głowa w pierwszym rzędzie i Mila zapamiętała nawet numer krzesła. Liczby tej zabobonnie się bała.

Pokojówka niepewnie weszła w głąb pokoju. Ostrożnie złożyła na kołdrze naręcz złotobiałych kwiatów.

Drzwi zakryły jasną plamę. A Mila uczuła upajający zapach mimozy.

Jak wiosenny wicher niosący odgłosy zbudzonej ziemi woń rozleciała się w dusznym pokoju, zdawała się całować jej usta, szeptać o życiu, o szale miłości.

— Ach! W powietrzu wirują białe, przecudne wiosenne motyle...

Lecz motyli nie było...

Ręce jej utonęły w miękkich kwiatach i nagle Mila zapragnęła chciwie, jak młode leśne zwierzę, upoić się świeżem, zdrowem powietrzem, czuła teraz, że wszystko gotowa poświęcić dla cudnego, krwawego, jednego słowa—życie—

— Panienska śpi?—

Mila zerwała się z poduszek, gwałtownym ruchem tknięte gałązki jak osłabłe ptaki padały w dół.

— Zapal światło i podaj mi z biurka papier.—

Usilnie nie patrząc na Aleksandra, Mila pisała:

— Jestem zdrowsza; doktor polecił wyjazd za granicę, lecz przed wyjazdem chcę pana zobaczyć. Tyle mam panu do powiedzenia, że dziś nie będąc sama, nie mogę go przyjąć i proszę to Mili wybaczyć. Jutro o tej samej porze będę na pana czekała.—Mila.—

— Jutro mu rzucę za cenę życia wiosnę swych marzeń,—zupełnie obojętnie myślała, starannie pieczętując list.

Pisała na kopercie nazwisko. Ręka jej drgnęła, bo nie widząc, czuła, że Aleksander nachylił się nad nią.—Czyta—myślała Mila, lecz nie czuła najmniejszego zmieszania, była teraz pewna, że tak właśnie być musi, że wszak ona nie powinna umrzeć.

Starannie kończyła ostatnią literę i uniosła list w stronę pokojówki, lecz ręką jej silnie szarpnięto w tył, list padł na podłogę.

— Oddaj—rzekł cicho, chłodno, z błyskiem w oczach, Aleksander.

Przestraszona dziewczyna oddała list, patrząc zdziwionemi oczyma na oboje.

A Aleksander mówił patrząc w oczy Mili.

— Chcesz zabić naszą miłość,—potem—ja odejdę na zawsze. Przypomnij, że tyle lat przeżyliśmy wspólnie.—

— Bo ty nie wiesz... teraz ja powiem, słuchaj... doktor mówił że śmierć tu, że ja muszę zaraz... no dziś... jutro... wyjechać. Muszę!—ochryple, głucho mówiła Mila.

— Inaczej umrę... <http://rcin.org.pl>

Aleksander zbladł. Dziwny strach, niepewność, na chwilę zdławiły słowa, lecz naraz, patrząc na Milę, uczuł, że to niemożliwe, by ta Mila żywa, prawie zdrowa, miała umrzeć.

Pokojówka schyliła się po list.

— Precz!—mruknął Aleksander.

— Każ jej odejść—zwrócił się w stronę Mili.

— Nie! Nie!—szamotała się dziewczyna.

— Chcę ratunku! Ja się boję!—

Przez szczeliny wpótotwartych drzwi na Aleksandra patrzyły żrenice, które chciały mu zabrać Milę. Kupić ją. Och! nigdy, raczej śmierć. Niech umrze, on zabije się również, lecz ich miłości zbrukać nie pozwoli.

— Więc śmierć, śmierć razem, byle nie to—Milo, nie to.

— Ja umrę, umrę—powtarzała błędnie dziewczyna, nie patrząc na te oczy ukochane, które niosły jej śmierć.

Lecz mimo woli, jak czarodziejskie tony, co siłą oplątują w swą sieć, głos przenikał do jej duszy i oczy Mili zwolna spojrzały w twarz narzeczonego.

Te usta mówiły o miłości tak cudnej, jak błyski srebrne na wodzie.

— Te usta tylko miały prawo całować twe wargi, Milo!

Mila podała list.

— Powiedz, że nie przyjmuję.—

Pokojówka odeszła, a Mila z trwogą przysłuchiwała się cichej rozmowie w przedpokoju.

-- Czemu on nie odchodzi—badała myśl.

— Pan hrabia przysyła—

i pokojówka podała kopertę ozdobioną herbem.

— „Jak rozumieć?—pisał hrabia—może pani wogóle nie życzy sobie widoku mej osoby, bo wiem, że przecież są tacy, którym dostęp nie został wzbroniony.—

Pytam raz ostatni: czy mam wrócić, czy odejść nazawsze.

Pytam jako człowiek, który jest gotów złożyć wszystko u stóp pani.»—

Mila czytała wolno. Czyjaś moc, instynkt silniejszy od woli kazał jej patrzeć na tę kartkę małą.

— Ja chcę żyć! Chcę żyć—łkała myśl, pióro drżało w dłoni.

— I ty, ty!?!—pytała Mila, patrząc oczyma pełnemi łez na Aleksandra.

— I ty?..

Lecz te oczy były niezblągane.

Na odwrotnej karcie listu Mila skreśliła.

— Nie będę mogła pana nigdy zobaczyć.—

A potem słyszała głuchy trzask drzwi zamykanych. Wolne, wahające się kroki odchodzącego. Otwiera drzwi schodowe; skrzypią i wolno... wolno otwierają się.

Z hukiem zamknięty dostęp do schodów.

Ostatni raz zawarły się za tym, co odszedł na zawsze.

Poprzez pocałunki, którymi obsypuje jej twarz Aleksander, Mila słyszy chrzęst śniegu uginającego się pod stopami.

— To dziwne: mury tak grube, a ja słyszę—myśli Mila i cichy, smutny żal, tęsknota ku życiu, łagodnie spada na jej duszę. Z oczu Mili padają wolno łzy.

— Nie płacz, Milo!—Ty będziesz zdrowa.--

Bajki przyszłości rozwierają swe wrota przed nią, lecz Mila nie wierzy i słucha głosu Aleksandra ze smutnym uśmiechem na ustach tak, jak w dzieciństwie słuchała bajek o kwiatach, co mówiły. Na dywanie leżą żółte mimozy, pachną, jak marzenia odtracone, ku którym wyrывa się dusza uwięziona w szklanej klatce. W powietrzu czyjeś usta zdają się szeptać słowa niezłomne wiernych przeznaczeń.

Mila zapadła w półsen. Chwilami otwiera oczy i patrzy na jasny pokój, badając wzrokiem sprzęty. Dziwi ją tu własna obecność, ma wrażenie, że w tym pokoju ktoś inny powinien mieszkać, a ona, Mila, znajduje się tu przypadkowo i za chwilę musi jechać daleko... daleko...

Myśli mącą się.

Jakieś łąki rozległe barwią przestrzeń jaskrawymi kwiatami, srebrne rzeki chłodzą wzrok szklaną powierzchnią. A usta jej znowu krwawią się, by wiśnie.

I nagle jakaś myśl odegnąła wizje. Mila zerwała się i opasując ramionami Aleksandra, pytała:

— Lecz ty—nie zapomnisz nigdy Mili?—przysięgnij.—

— Przysięgam—głucho powtórzył mężczyzna.

I zawarł w myśli niezłomne postanowienie śmierci, gdyby Mila miała umrzeć; lecz ona żyć musi! I Aleksander patrzył na przymknięte oczy dziewczyny. Nie mógł sobie wyobrazić, by błysk tych źrenic mógł zgasać.—

— Nieprawda, ona żyć będzie.—

Lecz mimo woli trwoga, tęsknota, bezwiedna apatia, poczęły wygrywać mu pieśń dziwną, bez dźwięku, bez słów, zdławionych westchnień melodję.—

— Milo!—szeptał z trwogą, bo mu się zdawało, że te olbrzymie, falujące rzęsy zmartwiały.

Uniosła powieki. Oczy pały, jak dwie precudne gwiazdy, czarne, otchłanne źrenice patrzyły bez wyrzutu, miłość w nich wid-

niała, jak morza toń nieobjęta i, gdy Aleksander pocałunkami okrywał drżące powieki, Mila z bólem pytała:—

— A z tobą ukochany? Z tobą co będzie?—

IV.

Doktór filozofji Aleksander Oskrzela wracał szybko do domu. Mimo lat czterdziestu kilku ruchy jego zachowały sprężystość młodzieńczą, a twarz o dużych spokojnych błękitnych oczach była wciąż młoda.

Uczniowie przepadali za nim. Odczyty Oskrzela stale kończyły się szumną owacją młodzieży.

— Szczęśliwy—szeptano, bo i coś mu do szczęścia brakowało. Żona miała duży kapitał i była sierotą. On sam zdobył sławę na polu naukowem.

Szybko Oskrzela wchodził do własnej kamienicy.

Wstąpił na schody wystlane puszystym dywanem.

Rzęsiste, elektryczne światło odbijało się w dużych lustrach. Lśnił marmur, a sufit złociły duże grube liście zawieszono u stropu.

Spokój i dostatek wiał ze ścian schodów.

Z góry spadała wesoła, kabaretowa melodia, lecz grana była zbyt wolno. Wybuchu śmiechu dwuznacznego tłumity się poważnymi palcami. Nie tryskało w niej wesele—bez powodu; melodia straciła czar błysków rezeźmianych oczu.

Była pozbawiona żrenic, więc tony padały opieszale, leniwie, dziwiąc się własnym brzmieniom i gasły w pocałunkach purpurowego dywanu, zmrożone objęciem chłodnych białych ścian. To żona Oskrzela grała wyjątek z operetki i Oskrzela znał doskonale każde uderzenie klawiszów, bo operetka była już stara bardzo, a on słyszy ją wszak codzień.

— No, idziemy—mówi wesoło Oskrzela obrzucając oczyma żonę i córkę. Wyszły obie do przedpokoju, a ponieważ są w balowych, głęboko dekoltowanych sukniach, więc ze śmiechem Oskrzela komenderuje:—Marsz do pokoju.—

— Idź, Niutko—powiedziała Marja Oskrzelowa do córki,—ale ja chcę cię o coś poprosić.

— Służę—z galanterją powiedział Oskrzela otwierając żonie drzwi do gabinetu i w tej chwili pomyślał, że żona niepotrzebnie tak jasno się ubiera, gdyż to czyni ją jeszcze tęższą.

— Widzisz—niepewnie zaczęła Marja Oskrzelowa chcę cię prosić, byś Niutce nie dawał klucza od swej biblijoteki.

— Ależ tam są tylko naukowe książki, a wiedza skazy, ani na

sercu, ani na umyśle nie czyni—poważnie, jakgdyby tłumacząc to, czego żona i tak nie zrozumie, mówił Oskrzcel.

— Tu nie o książki chodzi, lecz...

— O co?—pytał zdziwiony, patrząc bacznie na żonę, która ze stropioną miną unikała jego wzroku, prostując i gnąc nanowo jakiś szary karton.

— W starych książkach mogą być...

— Wytłumacz jaśniej, Maryniu—prosił Oskrzcel—bo my się nigdy nie zrozumiemy.

Wtedy żona z nagłą determinacją rozwinęła rulon.

I Aleksander Oskrzcel jak we śnie ujrzał burzę czarnych włosów, by nocą toń morską. Wyrwały się z portretu i szalejącym wicherem na chwilę zakryły mu powieki. A poprzez włosy patrzyły oczy niezgłębione, olbrzymie. Usta z wygiętą dolną wargą, kapryśne, nerwowe, szeptały z drżeniem słowa już dawno zapomniane.

Barwa starła się, więc były tak blade, iż nagle Aleksander Oskrzcel uczuł ból, że te usta straciły kolor wiśni.—

— Czemu tak drzę—dziwił się Oskrzcel i naraz w pokoju rozsunęła się woń mimozy.—

— Skąd ten zapach?—pytał Oskrzcel, ramionami opierając się o ścianę.

A kwiaty pachniały coraz silniej.

Cały potężny wicher zapachu rozszalał się w powietrzu. Oskrzcel uczuł brak tchu. Ta woń dusiła go. Jak sen zapomniany, który nagle konturem niejasnym zamajaczy, portret patrzył na Oskrzcela oczyma pełnemi wiecznej, bajkowej miłości i zdawał się pytać o coś; o pamiętkę, która wupadła w głąb studni starej i nikt jej wydostać nie zdoła. Włosy czarne wyrwały się z kartonu i oplątywały swemi pasmami ramiona Oskrzela.

Usta milczące łkały, że wiecznie miczeć będą i pytały, pytały...

Lecz teraz już Aleksander Oskrzcel tych pytań nie rozumiał. Nagły poryw wspomnień gościł pod badawczym wejrzeniem niedużych błękitnych oczu żony.

— Więc o co idzie, dawna znajoma. Cóż takiego?—niecierpliwie już pytał.

— Byłoby nic, lecz nadpis—mówiła Marja, ukazując mu ostre, podłużne, nerwowe litery, jeszcze tak wyraźne i czytała cichym, zmatowanym głosem tak, jak się czyta wyjątek z bardzo nieprzyzwoitej powieści.—

— «Moje oczy patrzą na ciebie wiecznie. Usta całują twe nigdy niezapomniane wargi.

«Kochanku! Kochanku mój!

«Owładnąłeś jedyną pieśczętą, pieśczętą mych włosów, więc

chcę Cię, jak w sieć chwytają rzadkiego ptaka, niemi oplątać na wieki.

«Czy słyszysz mój śmiech, czy słyszysz, jak deszcz mych włosów, by szczęścia łzy pada Ci ku stopom? Och! dlaczego ten portret, a nie ja, widzieć będzie zawsze twe oczy jasne, oczy najdroższe, Olku! Nie, ja żyję w tych oczach namalowanych, czy słyszysz? Żyję i to ja, ja patrzę całym szaleńcem miłości, wiosny upojonej naszego szczęścia.—

Ń Oskrzelał słuchał zły na siebie i na żonę. W słowach tych nie czuł czaru młodości, nie czuł melodji jedynej, co łączy oczy umarłe z żyjącemi.

— To nie lektura dla młodych panien—wtrąciła w nagłe milczenie żona.

— Fleż, patrz—i Oskrzelał wskazał żonie datę.

— Dwadzieścia lat temu—sarknął.

— Ńch, mnie nie o to chodzi—roześmiała się pani.

— Wszystkie wiemy, że wy żeniąc się z nami macie dość barwną przeszłość za sobą.

— Ń to była aktorka, prawda?—ciekawie z nagle odmłodzonemi, błyszczącemi oczyma wtrąciła.

— Tak—niechętnie mruknął Oskrzelał.

— Więc chcę Cię tylko o to prosić—po długiej ciszy ciągnęła Oskrzelową—byś oględniej pozwałał Niutce szperać w Twoich książkach, bo młode stworzenie, jak gąbka wszystko wchłania. Wszak tak?—pytała.

Skinął głową.

— Ń ja i ty również, pragnęliśmy ją od brudów życia uchronić. No, nie gniewaj się—i żona podała mu usta.

Zadowolony, że ta cała przygoda się skończyła, Oskrzelał ucałował ją serdecznie.

— Ubieraj się prędzej—wołała, zamykając za sobą drzwi.

I Oskrzelał został sam. Zwijał fotografię, usilnie myśląc nad czemś. Coś wspominał, coś rozważał i nagle otworzył drzwiczki pieca, rzucając do wnętrza szary rulon.

Płomienie sycząc objęły gwiazdziste oczy, które skurczył ból bezdenny. Ń wygięta kapryśnie dolna warga drgnęła w płaczu nieutulonym, żalonym i usta, szarpiąc się gwałtownie, wydały krzyk straszny, rozdzierający.

Jak wtedy... Jak wtedy...

Znowu padł tamten krzyk ostatni, błagalny, łopocząc w ciszy trwającymi dźwiękami.

On musi coś uczynić. Coś droższego ponad własne serce zabijają mu. On musi coś uczynić! <http://rcin.org.pl>

I ta straszna pewność niemocy...

Oczy Oskrzela poczęły czegoś szukać przed sobą, coś wydobywały z ciemnych zakątków. Już była ta cisza straszna, wyczekująca... Już była...

— Za oknami dawno, w przeszłym odległym życiu jak i teraz lśnił cudny szron na chodnikach. Ze skrzypem giął się śnieg pod stopami.

A okna całowały chłodne usta zimy.

— Pocałunki śnieżne zimy.—

Kto tak mówił prześlicznie, niezapomnianie?

Kto?

I Oskrzel śmiertelnie blady usłyszał echo skonu...

Naraz przez ścianę wpadł matowy, bezdźwięczny śmiech żony. Oskrzel wstrząsnął się. Jakby ze snu przykrego zbudzony, przesunął ręką po czole. Po chwili jednak opanował się i dawny uśmiech wrócił mu na usta.

— Zdenerwowany jestem trochę—mrukał. Począł ubierać się pośpiesznie.



JAN KANIOWA.

Grzech.

Nad klawiaturą z kości słoniowej schyla się Błada Pani. Płomień woskowych świec otacza ją łańcikiem niepewnego światła—i postać jej w tej aureoli srebrzystej dziwnie odbija na tle olbrzymiej czarnej sali o niskim pułapie. Tony starych romancy wylatują z pod białych palców Bładej Pani pierzchliwym rojem motyli, co fruną wzwyż, lub w mroczne padną kąty, lub usiądą, barwne i znużone, na włosach chłopca leżącego na tygryskiej skórze. Chłopiec milcząc słucha grania i patrzy na białe dłonie. Cicho i mroczno w zamczysku; ciemno i cicho w wielkiej sali.

Nagle pod jego wzrokiem Błada Pani przestaje grać; odwraca się od fortepianu i mrużąc powieki szuka chłopca w ciemności.

— Edwardzie, lubisz, gdy gram?

— Tak, Pani. Przypomina mi to ojca mego, pana de Saville. Lubił tak grywać nocami. Czy i ty, Pani, wspominasz czasem pana de Saville?

— Tak, Edwardzie, i często... Ojciec twój, a mój brat, był wielkim i szczerym artystą...

I Błada Pani gra znowu. Chłopiec patrzy na jej szybkie dłonie, lekko dotykające żółtych klawiszy z kości słoniowej—a po chwili mówi znów:

— I ręce miał do twoich podobne: wąskie, wypieszczone, o długich cienkich palcach... Kładł sobie na kolanach moją głowę i mówiąc mi o sobie, o mamie, o waszym ojcu...

— I o mnie?—cicho przerywa Błada Pani.

— (O Pani, Pani! poco znów mię dręczysz?)... bawił się mymi włosami...

— Edwardzie...

— ...a ja całowałem jego dobre, miękkie, kochające dłonie.

— Tak do moich podobne?—Edwardzie, czemu nigdy nie całujesz mnie w ręce?

— Mój Boże! wiesz przecie, wiesz...

— Znów, znów to wspomnienie? i ty, Edwardzie, «wiesz przecie», że była winna, że postąpiła sprawiedliwie.

— Może—może.—Ale czyż nie mogłaś sługom poruczyć? I przytem—zdawało mi się—że—czyniłaś to z radością...

Błada Pani uśmiecha się dziwnie: «Dziecko, dziecko!»

Z za czarnej masy gór wychyla się srebrna kula księżycza i oświetla smutną bezkresną dolinę przed zamczyskiem. Bliżej—czarna

trawa patrzy ponuro na bezlitośne niebo, dalej—straszliwe, zdradzieckie grzęzawiska, a potem znów trawa—spragniona i konająca.

Lecz oto wicher strzępem chmury gasi miesiąc; w zamkowej sali znów ciemno.

— Chodź bliżej, — szepce Błada Pani,—złóż głowę na mych kolanach, a ja będę ci mówiła o sobie, o panu de Saville, o twej matce. I będę pieściła twe włosy.

— O nie, Pani, nie... Wiem, że będziesz mi mówiła rzeczy, których nie chcę słuchać. I włosy me gładzisz nie tak, jak mój ojciec, lecz jakoś niedobrze... Pani, lękam się ciebie czasami.

— No widzisz, Edwardzie, jeśli i w tobie budzę jeno trwogę, nic nadto,—to znaczy, że mię nikt—nikt na świecie—nie kocha...

Chłopak się uśmiecha: «*À pan Vallès?*»

— Po raz pierwszy wyrzekłeś imię jego z uśmiechem—mówi Błada Pani.—Nienawidzisz go.

Po chwili pyta cicho:

— Chciałbyś, by już nigdy nie przyjeżdżał?

I jeszcze ciszej:

— ...byśmy zostali sami?

Chłopiec milczy.

— Edwardzie... pan Vallès już nigdy nie zawita w murach tego zamku!

— Jakże to, Pani? Zapewne, uważałem, żeś była względem niego chłodniej usposobiona ostatnimi czasy,—ale sam przecie słyszałem, jak przyrzekał przybyć tu dziś właśnie?

Z poza okna, z odległych mroków, dolatuje cichy odgłos wystrzału.

— Słyszysz, Pani? to pan Vallès. Umówiliście się, że gdyby noc była zbyt ciemna, staniesz w oknie lewej wieżycy z lampą w ręku, drogę mu w ten sposób wskazując.

— W oknie lewej wieżycy, powiadasz? Edwardzie, złą masz pamięć!

— Przypominam sobie jak najdokładniej: mówiliście o tem w twojej...

— Edwardzie, złą masz pamięć!

— Pani, czyżbyś istotnie zapomniała?

— Edwardzie, złą masz pamięć!

Chłopiec patrzy na nią przełękty i zdziwiony: «Pomyśl pani, coby mu zagrażało, gdybyś się jednak myliła?»

— Nie myślę się. Weź lampę i stań w oknie *tej* sali.

Chłopak waha się, blady.

— Toż i postuszeństwa mi już odmawiasz, Edwardzie?

— Pani!...

— Więc idź!

Cisza.

Potem drugi strzał—trzeci.

— Jezus Marja! te straszne, smrodliwe, ssące grzędzawiska... Byle tylko pan Vallès nie zbłądził, byle nie zbłądził..

— Milcz. Czynię podług umowy.

— Słyszysz, jak okropnie wyją psy? Coś białego majaczy mi z mroków. Spuszczają most—to przestraszeni stróżowie wyjeżdżają z pochodniami, by zbadać, co się stało.

Błada Pani milczy. Z kątów wytaniają się sine widma Przerazeń. Na mury zamku, czepiając się gzymsów, gramoli się Śmierć. W od dali żałobnie wyją wilkołaki. Na schodach słysząc ciężkie kroki. Pacholki wchodzi z spuszczonei głowami i stają we drzwiach:

— Człowiek utonął w moczarach.

20. XII. 1914.



Pióro

Wydawnictwo nieperjodyczne poświęcone literaturze i sztuce pod kierownictwem literackim Tadeusza Ficowskiego.

Wychodzi zeszytami, zawierającymi poezję, nowele, szkice krytyczne, estetyczne i t. d.

Pióro umieszcza utwory najmłodszych autorów polskich.

Każdy zeszyt stanowi samoistną całość.

Cena zeszytu pojedynczego — 35 kop.

Korespondencję należy skierowywać pod adresem Redakcji: Kijów, ul. Stotypina 26, Czesław Kozłowski.

*Skład główny wydawnictwa
w księgarni Narcyza Gieryna w Kijowie
ul. Puszkina 11. Telef. 46-44.*



P.I

355

1754

1754
1754
1754

1754
1754
1754

1754
1754
1754

1754
1754
1754

12
355



PI. 355

P.I. 355

1915